

JAK W PIESZYCACH DIABEŁ PORWAŁ GRAFA

Wszędzie wokół, na całym Dolnym Śląsku szalała straszna wojna, którą później nazwano wojną trzydziestoletnią, bo 30 lat trwała.

Lała się w całym kraju krew katolików, lała się krew protestantów, obcy żołdacy uganiali się po śląskich dziedzinach, palili miasta i wsie, gwałcili niewiasty, maltretowali ludność.

Na zamku w Pieszycach mieszkał wtedy niedobry graf von Gellhorn, który, choć sam protestant, pozostał wierny katolickiemu cesarzowi z dalekiego Wiednia. Dla swoich poddanych był on nie mniej okrutny niż żołdactwo z dalekich stron sprowadzone.

Nie on jeden zresztą, bo tacy to wówczas byli panowie.

Nocami z komnat zamkowych rozlegały się pijackie okrzyki, wylatywały z okien cynowe puchary, a biada słudze, który by choć na chwilę spóźnił się z napełnianiem czary. Czeladź kuchenna nieustannie obracała różną z ćwierciami wołów i baranów.

Gdy zaś nad zamkiem wstawał brzask poranny, a od Gór Sowich ciągnęły chłodne i rzeńskie powiewy, z bram pieszyckiego zamku wypadała konno i szumnie dzika gromada myśliwców.

Ujadały ogary, a na czele cwałował sam graf von Gellhorn.

Z przysiadłych ku ziemi chałup spozierały na pańską swawolę wystraszone chłopskie oczy. Patrzyły i nie zabijały, bo zabić nie mogły...

Nic to, że na polach kłosiło się dojrzewające zboże, które miało dać chleb powszedni, tak kornie przez biednych ludzi u Boga wypraszany. Pańskie konie, nie bacząc na nic, tratowały zasiewy tak doszczętnie, że wyglądały po łowach, jakby przeszła nad nimi burza z gradobiciem, albo tatarski czambuł.

Mijały lata, pan polował ciągle, a z wylanych ludzkich łez powstać mógłby potok.

Lecz w końcu kara dosięgła dumnego i okrutnego pieszyckiego grafa.

Oto pewnej nocy hulanka na zamku była jeszcze szumniejsza niż zwykle. Potokami lał się węgryz z zamkowych piwnic, a śpiewki i żarty sprośniejsze były niż kiedykolwiek. Nagle, gdy zegar zamkowy odmierzył północ, pogasły lampki oliwne i świece, a za oknami rozszalała się piekielna burza. Trzasnęły okiennice. Biesiadnicy zamilkli i strach zjeżył im włosy na głowach.

U progu komnaty pojawił się tajemniczy mąż, jak gość zza światów. Spowijała go czarna opończa, na głowie miał czarny kapelusz, a oczy mu świeciły niby rozżarzone węgle. Co niektórzy zauważyli, że jedną nogę miał niczym końskie kopyto. Właśnie błyskawica przeszła niebo, po komnatach przetoczył się huk pioruna, gdy piekielny gość porwał grafa za kark i nim ktokolwiek ochłonął, wywinąwszy grafem parę młynców w powietrzu, cisnął go przez otwarte okno wprost na zamkowy dziedziniec. Bezwładne ciało grafa padło na kamienny podworec. Bryzgnęła krew i powoli wsiąkała w ziemię.

Tajemniczy mąż zaś w czarnej opończy przyłożywszy dwa krogulcze palce do brzegów kapelusza skłonił się nisko przerażonym biesiadnikom i rzekł szydyczko:

-"A teraz życzę waszmościom przyjemnej zabawy i pomyślnych łowów", po czym zakręcił się i zniknął ni to drzwiami ni to oknem.